

TOMASZ PATYRA

ur. 1952; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Włodawa, Wiryki, Korolówka, Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Włodawa, PRL, represje komunistyczne, Wiryki, Korolówka, Lublin, praca weterynarza, zwolnienie z pracy

Zostałem zwolniony pod byle pretekstem

Zostałem zwolniony [z lecznicy we Włodawie] pod byle jakim pretekstem. Mój kolega Staszek pracował niedaleko, w lecznicy w Wirykach. Dyrektor wojewódzkiego zakładu weterynarii zgodził się, żebym poszedł tam pracować, ale to potrwało krótko. Z jakiegoś nieistotnego powodu podziękowano mi za pracę albo sam zrezygnowałem, bo wiedziałem, że jak Staszek nie znajdzie pretekstu, by mnie zwolnić, to jego wyrzucą.

Zacząłem szukać pracy, ale nigdzie nie mogłem znaleźć. Wszędzie, gdzie poszedłem, jak tylko powiedziano, że jutro podpiszemy umowę, pojawiali się panowie ze służb i temat się urywał. Byłem bezpartyjny, a we Włodawie wszyscy się znali. Z racji jakichś tam spotkań przy piwie, dobrze znałem szefa miejscowego Stronnictwa Demokratycznego. Przy okazji wspomniałem mu, że nie mam pracy. On na to: „Słuchaj, ja potrzebuję pracownika do biura, tobym cię przyjął, ale musisz być członkiem SD”. Ja mówię: „Dobra, zapisz mnie”. Ponieważ musiałem mieć jeszcze trochę stażu, wpisał mnie z datą wsteczną, także miałem z rok tego stażu. Jak już miałem pracować u niego, też przyszli panowie i nie zostałem przyjęty.

W Korolówce pod Włodawą dyrektorem PGR-u był mój kolega, którego znałem ze studiów. Uczył się na innym wydziale, ale był prezesem AZS-u. Ja pływałem na żaglach w tymże AZS-ie i dlatego żeśmy się bardzo dobrze znali. Przyszedłem do niego i mówię: „Słuchaj, może byś mnie zatrudnił w PGR-ze jako lekarza weterynarii?”. A to był PGR, który zajmował się bydłem mlecznym. Wówczas byłem chyba jedynym w województwie lekarzem, który miał skończoną specjalizację z chorób przeżuwaczy. On na to: „Stary, z nieba mi spadłeś, taki lekarz ze specjalizacją tutaj, to jak najbardziej. Przygotujemy na jutro papiery”. A ja mówię: „Słuchaj, jutro przyjadą panowie i ci nie pozwolą mnie zatrudnić. Nie będę miał do ciebie pretensji, bo zdaję sobie sprawę, że to nie od ciebie zależy. Albo mnie chcesz zatrudnić już,

albo wcale, bo jutro na pewno się nie uda”. Od razu zostałem zatrudniony.

Następnego dnia przyjechali panowie i żądali, żeby kolega mnie wyrzucił na bruk. Ale on powiedział: „Zaraz, jeszcze nic nie zrobił. Żeby jakikolwiek pretekst był, tobym go wyrzucił”. Odrzekli, że za jakiś czas trzeba mnie usunąć i pojechali. Z pracą zaczęły się schody. Jakiego typu? A mianowicie żeby pracować jako lekarz, trzeba mieć dostęp do leków. Procedura zamawiania była taka, że sporządzałem wykaz potrzebnych leków. Ten spis szedł do Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii, tam stemplował go dyrektor i wtedy ruszał dalej – do centralnych magazynów, które były w Lublinie, tak zwanego Centrowetu. Stamtąd te leki mogły przyjechać. Moje zamówienia z tego PGR-u były zatrzymywane w Wojewódzkim Zakładzie Weterynarii w Chełmie i nie szły do Centrowetu. W związku z tym PGR nie otrzymywał leków. Lekarza mieli, tylko on nie miał dostępu do leków, co było paranoją.

Radziłem sobie w ten sposób, że badałem zwierzęta, telefonowałem do lecznicy we Włodawie, której wcześniej byłem kierownikiem, i zgłaszałem pacjentów. Ułatwiałem im pracę, bo od razu podawałem diagnozę. Raz nawet zdarzyło się tak, że cielęta zachorowały na zapalenie płuc. Telefonicznie podałem diagnozę i poprosiłem, żeby przyjechał ktoś do tych cieląt. Przybył sanitariusz, któremu nie wolno było używać antybiotyków. Mimo to podał zastrzyki tym chorym cielętom. Wcześniej myśmy pracowali ze sobą parę ładnych lat, więc mówię do niego: „Panie Janku, trzeba będzie podawać to jeszcze przez kilka dni. Niech pan zostawi te antybiotyki tutaj, to ja już je podam. Pan tylko wypisze rachunek”. A on na to: „Pan? Panu nie wolno mieć leków”. Myślę sobie: „Ty żłobie jeden, tobie nie wolno nawet dotykać tych leków, a mówisz, że mnie nie wolno?”. Mówi się trudno. On był jedynym partyjnym w lecznicy, więc jemu było wolno, a mnie – nie.

To trwało chyba z pół roku. Widziałem, że ten dyrektor, a mój kolega, męczy się z tym. SB nachodziło go i naciskało, żeby w końcu mnie wyrzucił. Powiedziałem do niego: „Słuchaj, tak dalej być nie może, że ja pieniądze biorę, a leków nie mam. W takim razie ja się zwolnię”. I tak zrobiłem. Później trafiłem do kliniki chirurgii w Lublinie, gdzie profesor mówił: „Ja miałem tutaj wizyty, żeby pana nie przyjąć do pracy, ale ja mam ich w dupie akurat”. Tak się znalazłem w Lublinie.

Data i miejsce nagrania	2019-07-17, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"